

ANDRZEJ K. KOŹMIŃSKI¹

Moje pokolenie – 30.–40.

Należę do szczególnego polskiego pokolenia: „dzieci wojny” urodzonych w latach 30. i 40., naznaczonych w dzieciństwie przez wojnę, która przeto-czyła się dwukrotnie przez ziemie polskie, okrutną, krwawą niemiecką okupację i ruch oporu, wejście Armii Czerwonej, która „przyniosła na bagnietach” nowy komunistyczny ustrój i prowadziła bezlitosną wojnę domową z antykomunistycznym podziemiem. Byliśmy za młodzi (może raczej za mali), by walczyć, i zarazem od dziecka zbyt doświadczeni, by dać się nabrać czy oszukać kolejnym ideologicznym misjonarzom. Z całą pewnością w pierwszych latach nie była to grupa jednorodna. Kiedy dorastało pokolenie 30.–40., ostre i wyraźne były jeszcze podziały na miasto i wieś, na mniej lub bardziej wykształcone grupy, na „posiadaczy” i „proletariat” czy wreszcie na kobiety i mężczyzn pełniących tradycyjne role. W miarę upływu lat te różnice zanikały w biednym egalitarnym „społeczeństwie socjalistycznym”. Nasze dzieciństwo i młodość to okres wielkiej migracji ze wsi do miast i wyjątkowy w naszej historii okres masowych awansów społecznych przede wszystkim poprzez edukację. Te procesy dotyczyły wszystkich pośrednio i bezpośrednio. O ile przed II wojną wykształcenie na poziomie ponadpodstawowym było przywilejem zarezerwowanym dla inteligencji i klas posiadających (mieszczaństwa i ziemiaństwa), to ja i w szkole średniej, i zwłaszcza na studiach miałem kolegów i koleżanki pochodzenia robotniczego i chłopskiego. W trudnych czasach byliśmy ze sobą blisko. Dawne klasowe konflikty wygasły. I ta wspólnota uzasadnia pojęcie pokolenia.

Czytając w gazetach kolejne nekrologi, zastanawiam się, czy mamy jakieś wspólne charakterystyki uzasadniające użycie pojęcia pokolenie. Brak nam chyba wyrazistości. Jesteśmy w świadomości społecznej „wciśnięci” między bohaterskie pokolenie żołnierzy wszystkich frontów II wojny i bojowników podziemia oraz zrodzonego z klęski wolnej Polski i sowieckiego zwycięstwa pokolenia komunistycznych neofitów w czerwonych krawatach. To te dwa pokolenia są częstym przedmiotem

¹ Prof. Andrzej K. Koźmiński, PhD, DSc – współzałożyciel i pierwszy rektor Akademii Leona Koźmińskiego (1993–2011), honorowy prezydent Akademii Leona Koźmińskiego; e-mail: kozmin@kozminski.edu.pl; ORCID: 0000-0001-7499-3699.

publicznych debat, sporów i emocjonalnych osądów. My byliśmy pokoleniem wielokrotnie powtarzanych nadziei i rozczarowań o niestabilnym stanie ducha i świadomości. Wiedzieliśmy jedno, że trzeba przeżyć i przetrwać. Niektórzy mieli jeszcze wpojona w rodzinach drugą zasadę, że trzeba „zachować się jak należy”, cokolwiek by owo „należy” oznaczało. Normy kształtowała burzliwa i zróżnicowana historia, warunki życia i przeżycia. Były one różne w różnych środowiskach, a nawet rodzinach. Ja na przykład wiedziałem, że rodzice nie wybaczyliby mi członkostwa w partii komunistycznej. Gdzie indziej bywało inaczej. Ważne jest to, że niemal wszyscy otrzymywali jednak „w spadku” jakieś kodeksy moralne wyrosłe na gruncie tradycji, religii i osobistych doświadczeń.

Pierwsza fala nadziei i rozczarowań wiąże się z kilkoma latami bezpośrednio po wojnie (1945–1949) i odczuwaną przez rodziców ulgą z zakończenia walki o fizyczne przetrwanie i powojenną odbudową kraju na nowych zasadach. Trójsektorowa gospodarka oparta na własności państwowej, spółdzielczej i ciągle jeszcze uznawanej prywatnej połączona z rozsądnym planowaniem indykatywnym przyniosła niespodziewanie dobre rezultaty w potwornie zniszczonym kraju, nawet w porównaniu z resztą Europy. Mimo upaństwowienia przemysłu i brutalnej reformy rolnej, która definitywnie usunęła ziemiaństwo ze struktury społecznej, polskie rolnictwo i handel detaliczny pozostawały prywatne i w pierwszych latach po wojnie zaopatrzenie było dobre. Korzystały na tym dzieci, zwłaszcza te z zamożniejszych domów. Do dziś pamiętam smak pierwszych po wojnie słodyczy.

Odbudowa Warszawy była wzorcem dla wielu innych miast europejskich. Wycieczki szkolne na Stare Miasto i Trasę W–Z były atrakcją i źródłem dumy. Wywodzące się z partii socjalistycznej kierownictwo gospodarcze wykazało się rozsądkiem w warunkach niemal okupacji kraju przez wojska radzieckie. Wraz z zakończeniem trzyletniego planu odbudowy (1947–1949) komunistyczny reżim nasilił nacisk, przybierając postać masowego terroru, zaostrenia walki z Kościołem i z religią, przymusowej kolektywizacji rolnictwa i reżimu dostaw obowiązkowych, „bitwy o handel” czyli jego upaństwowienia, monopolu PZPR-owskiej „nowej elity” na wszelkie wyższe stanowiska, powszechnego donosicielstwa i zagrożenia. Na skutek przymusowej kolektywizacji rolnictwa spadła produkcja rolna. Pojawiły się braki w zaopatrzeniu, puste sklepy, kolejki. Zapadła głucha stalinowska noc. Już starsze dzieci z mojego pokolenia zaganiane do „czerwonego harcerstwa” doświadczyły tego rozczarowania i strachu. Ten strach, nowy strach przed prześladowaniami był znakiem czasu. Strach leżał też zapewne u podstaw pewnej ilości „nawróceń” młodzieży na radziecką wiarę. W jakiej mierze były już w tak młodym wieku interesowne? Trudno powiedzieć, ale już wkrótce się okazało, że z pewnością nie były trwałe ani szczerze tak jak w „pokoleniu ZMP”. Wiele ówczesnych dzieci bardzo

wcześniej czuło i doceniało ryzyko różnych zachowań wobec różnych ludzi i w różnych sytuacjach i uczyło się kalkulować osobiste korzyści.

Wielkim przełomem i czasem wielkiej nowej nadziei był Październik 1956. Po śmierci Stalina (1953) w czasach wzmożonej niepewności w całym „obozie socjalistycznym” w buntowniczej Polsce pod wpływem gwałtownych i krwawych protestów społecznych do władzy doszli zwolennicy „polskiej drogi do socjalizmu”, którzy otworzyli bramy więzień i obozów nie tylko „nieprawomyślnym” komunistom, takim jak Gomułka i jego ekipa, ale także wielu żołnierzom Armii Krajowej i antykomunistycznego podziemia czy setkom tysięcy represjonowanych „dla zasady” zwykłych obywateli. Dowodzący polską armią radzieccy „doradcy wojskowi” z marszałkiem Rokossowskim, sławnym dowódcą z czasów II wojny światowej na czele zostali odesłani do domu. Byliśmy dumni z tego, że to Gomułka wymusił na Rosjanach uznanie swego wyboru na przywódcę partii komunistycznej, a nie został przywieziony w teczce z Moskwy jak „wielkorządcy” innych „demoludów”, jak nazywano europejskie kraje socjalistyczne zdominowane przez Moskwę: Czechosłowację, Rumunię, Bułgarię i Niemiecką Republikę Demokratyczną (NRD).

Nawiązaliśmy za to szczególne relacje z USA, czego symbolem była „pożyczka zbożowa” na zakup amerykańskiego zboża spłacana w złotych. Kontakty z RFN doprowadziły do faktycznego uznania przez Niemcy zachodniej granicy Polski obejmującej tereny należące przez wojnę do Rzeszy Niemieckiej. W miejsce „kołchozów” powróciło prywatne chłopskie rolnictwo. Zawarty został historyczny kompromis z Kościołem. Tolerowano „sektor prywatny” w handlu i usługach, a nawet w produkcji na niewielką skalę i rzemiośle. „Prywaciarze” stali się finansową elitą społeczeństwa oczywiście niezbyt lubianą i od czasu do czasu demonstracyjnie prześladowaną przez władze, które stopniowo coraz mniej stroniły od korupcyjnych układów. Zaczęły się wyjazdy zagraniczne na Zachód zarówno służbowe (naukowcy, specjaliści), jak i na „lipne”, przeważnie prywatne zaproszenia „od rodzin”. Polska uzyskała w ramach „obozu” bardzo szczególny, wyjątkowy status będący przedmiotem zazdrości obywateli innych „demoludów”. Dlatego wielu Węgrów, Rumunów czy Rosjan uczyło się polskiego, by mieć dostęp do publikowanych w Polsce czasopism i książek. Tłumaczyliśmy „prawie wszystko” z literatury i humanistyki światowej, a debata publiczna powróciła wraz z powrotem na uczelnie przedwojennych profesorów i ich uczniów. To wyglądało jak cywilizacyjna zmiana lub wręcz „odrodzenie”. Na szczęście wiele jego elementów pozostało, choć w okrojonej formie, i inaczej niż w innych krajach „obozu”, restalinizacja w Polsce nie nastąpiła. Dla pokolenia 30.–40. był to czas fascynacji wizją „socjalizmu z ludzką twarzą” i prób zbudowania sobie jakiegoś takiego życia w „realnym socjalizmie” towarzysza Gomułki. Nazywano ten czas lat 1957–1968 okresem „małej stabilizacji”.

Już wkrótce po wygaśnięciu popaździernikowej euforii coraz boleśniesz rozczarowania nie kazały długo na siebie czekać. Już w październiku 1957 roku zamknięto odważny reformatorski tygodnik „Po prostu”, a demonstracje protestującej młodzieży rozprędzono brutalnie. Wtedy na rogu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich miało miejsce moje osobiste spotkanie z milicyjną pałką, gazem i „suką”, z której udało mi się szczęśliwie wyskoczyć. Było to w jakimś sensie symboliczne dla ówczesnych doświadczeń naszego pokolenia. Socjalizm tracił „ludzką twarz”. Cenzura „przykręciła śrubę” i prasę codzienną czytało się „między wierszami”, choć kilka tygodników (np. „Polityka” czy „Tygodnik Powszechny”) z niemałym powodzeniem walczyło o swobodę wypowiedzi. Na „froncie ideologicznym” ogłoszono „walkę z rewizjonizmem”, która na szczęście toczyła się dość niemrawo, ale odbyło się kilka procesów politycznych zakończonych kilkuletnimi wyrokami, na szczęście nie zawsze w pełni wykonanymi.

Elity intelektualne o przedwojennym często żydowskim rodowodzie „trzymały się mocno” dzięki kompromisom z ekipą Gomułki i zdobywały niezłą pozycję międzynarodową poprzez „polskie szkoły” filmu, plakatu, socjologii, teatru itp. Inteligencka część pokolenia 30.–40. korzystała z tego kompromisu i czerpała z niego korzyści. Blokowało to ścieżki awansu „pszenno-buraczanej” komunistycznej „młodzieży” z zetempowskiego społecznego awansu. I na samych szczytach komunistycznej władzy narastały napięcia i konflikty. Mój nauczyciel i przyjaciel Witold Jedlicki, będąc już na emigracji w Izraelu, przedstawił tę sytuację w opublikowanym w paryskiej „Kulturze” już w 1962 roku proroczym artykule „Chamy i żydy”. Wojna izraelsko arabska 1967 roku i demonstracje młodzieży po zdjęciu z afisza „Dziadów” w Teatrze Narodowym stały się zarzewiem gigantycznej prowokacji „chamów” przeciwko „żydom” w marcu 1968 r., a w praktyce olbrzymiej antysemitkiej czystki w środowiskach inteligenckich (szczególnie na uczelniach) i emigracji dziesiątek tysięcy najlepiej wykształconych, najbardziej obytych w świecie i zaawansowanych w karierze badaczy i specjalistów. Miało to fatalny, dewastujący efekt dla pozycji polskiej nauki na świecie i wyrządziło jej szkody porównywalne z tymi, jakie spowodowała II wojna światowa.

Marzec 1968 roku przyniósł pokoleniu 30.–40., zwłaszcza ze środowisk inteligenckich, nieuleczalną traumę. Trzeba było jakoś się dostosować do po marcowej rzeczywistości. To wymagało jakiejś formy „zgniłego kompromisu” z reżimem. Niektórzy posunęli się w tym kompromisie dość daleko, np. wstępując do Partii w celu przyspieszenia kariery, inni, jak mój przyjaciel Jakub Karpiński, właśnie wówczas podjęli decyzję o walce z systemem. Jeszcze inni podejmowali próby „ogrywania” władzy, czyli wykonywania rzetelnie swojej misji i pracy dla kraju jako „bezpартyjni fachowcy”. Wyznawaliśmy zasadę, że im mniej władza wie, tym lepiej śpi, a im lepiej śpi, tym dla nas lepiej. Praktycznie nie było w moim pokoleniu

tych, którzy tej władzy służyli szczerze i na tej płaszczyźnie mogliśmy się porozumieć, kiedy trzeba było okazjonalnie współdziałać, realizując swoje interesy. Świadczyliśmy sobie wzajemne „usługi”: „lewe” zwolnienie lekarskie za możliwość zakupu szynki lub innego atrakcyjnego towaru bez kolejki, „przydział” na samochód w zamian za awans itp. itd. Tak rodziła się solidarność przez małe „s”.

Mimo wścieklej antysemickiej i antyinteligentycznej kampanii w mediach trauma Marca 1968 była głównie, jeśli nie wyłącznie, doświadczeniem inteligencji, szczególnie z pokolenia 30.–40. Większość społeczeństwa odczuwała coraz bardziej boleśnie niedogodności i niedostatki życia codziennego. Gomułkowski „siermiężny socjalizm” oparty na eksporcie węgla i funkcjonowaniu państwowych przedsiębiorstw, które maksymalizowały nakłady i zatrudnienie, a nie wartość dodaną, w oczywisty sposób nie mógł zaspokoić materialnych aspiracji społeczeństwa rozbudzonych przez kontakt z Zachodem. Ta luka stawała się z biegiem czasu coraz bardziej dotkliwa, a w miarę wyczerpywania się prostych rezerw nieudolna gospodarka doprowadziła do dotkliwych braków zaopatrzenia w podstawowe artykuły żywnościowe. Podnosząc ceny i tak coraz trudniej dostępnych artykułów spożywczych, władza próbowała finansować własną nieudolność, obniżając poziom życia społeczeństwa, a zarazem okazując pogardę dla jego potrzeb: na przykład budując mieszkania bez łazienek. Mnożyły się robotnicze strajki i protesty organizowane w charakterystycznych dla „realnego socjalizmu” wielkich zakładach pracy. Rok 1970 przyniósł krwawo stłumione rozruchy i strajki na wybrzeżu i koniec rządów ekipy Gomułki. U pokolenia 30.–40., które pamiętało październik 1956, pozostało po niej uczucie frustracji i goryczy, a przede wszystkim nieufności do rządzących, a zarazem przekonanie, że system zdolny jest do ludobójstwa. Strzały ponownie odbiły się głuchym echem w świadomości pokolenia.

Tę nieufność próbował przełamać kolejny przywódca partii komunistycznej Edward Gierek reemigrant z Francji i szef partii na Śląsku, zwracając się do robotników ze słynnym pytaniem „pomoczenie?”. Kolejna ekipa, która za zgodą i z poparciem Moskwy objęła rządy w Warszawie, wystartowała z obietnicami naprawienia błędów „siermiężnego socjalizmu” i połączenia socjalizmu z zachodnim dobrobytem. Była to swego rodzaju „propozycja nie do odrzucenia”: akceptujecie komunistyczną władzę i „sojusz” z ZSRR, a w zamian dostajecie „prawie” zachodni dobrobyt. W ciągu dekady 1970–1980 próbowano realizować te obietnice z pewnymi sukcesami, zwłaszcza na początku dekady, ale zastrzeżenie „prawie” uzyskiwało coraz to szersze znaczenie.

Dzięki importowi i mądrzejszej polityce wobec prywatnego rolnictwa poprawiło się zaopatrzenie w żywność, budowano około 300 tys. słabej jakości mieszkań rocznie, ale czas oczekiwania na mieszkanie skrócił się. Uruchomiono produkcję małego fiata „dla ludu”. Można było posiadać dewizy, a nawet konta dewizowe

w państwowym banku. Coraz więcej ludzi dzięki „zaproszeniom od rodzin” wyjeżdżało za granicę, pracowało tam (przeważnie nielegalnie) i wracało do kraju z zarobionymi „prawdziwymi” pieniędzmi, za które w sklepach PEWEX-u można było kupić „dosłownie wszystko”. Wolnorynkowy kurs wymiany „twardych” walut na złotówki stosowany w prywatnych transakcjach rósł i bił kolejne rekordy. Tylko trzeba było mieć te przysłowiowe „dolarzy”. Na tym polegała „dolaryzacja” gospodarki. Rosły oczekiwania i materialne aspiracje. W środowiskach inteligenckich, które „dochodziły do siebie” po wstrząsie Marca 1968 i wzmocniły kontakty z Zachodem, pojawiły się oczekiwania liberalizacji systemu politycznego, przestrzegania praw człowieka itp. W mniej lub bardziej zawaolowanej formie docierały one do opinii publicznej, kreując klimat „oczekiwania na więcej” Zachodu w Polsce, a pokolenie 30.–40. (wówczas u szczytu życiowych możliwości) było wpatrzzone w Zachód i tam poszukiwało punktów odniesienia swoich aspiracji i marzeń. Optymalną strategią życiową było zarabiać za granicą i wydawać w kraju. To pokolenie poznało Zachód i mechanizmy rynkowe z pozycji „zwykłego człowieka”.

Pierwsze rozczarowania polityką Gierka i jego ekipy przyszły na polu materialnych warunków życia. Cały ten dobrobyt opierał się bowiem na szybko rosnącym zadłużeniu w „twardych” walutach. Kiedy kredyty trzeba było spłacać, sprawa się komplikowała, bo mimo importu zachodniej technologii efektywność gospodarowania była niska i... zaciągano nowe kredyty. W ten sposób polska gospodarka wpadła w spiralę zadłużenia. Próby przywrócenia równowagi musiały oznaczać stopniową rezygnację z obiecanego dobrobytu. Powracały przysłowiowe „puste półki” i kolejki przed sklepami, mieszkania i samochody były coraz gorszej jakości, coraz dłużej trzeba było na nie czekać i coraz więcej za nie płacić. Narastało wielkie rozczarowanie i przekonanie, że władza złamała kontrakt ze społeczeństwem. Było to tym bardziej dotkliwe i konfliktogenne, że pogorszenie sytuacji życiowej nie dotyczyło wszystkich w jednakowym stopniu. Źródłami uprzywilejowania były: stały dostęp do „twardej” waluty (np. poprzez regularną pracę za granicą, stałe przekazy), znajomości zapewniające uprzywilejowany dostęp do rzadkich dóbr oraz prywatna przedsiębiorczość (legalna, półlegalna i nielegalna) gwarantująca wysoką dynamikę i wartość dochodów. Znaczna część pokolenia 30.–40. była już wówczas stosunkowo lepiej „ustawiona” na tych trzech podstawach i wytworzyła odruchowe nawyki „radzenia sobie”. Grupy uprzywilejowane były na tyle liczne, że stały się widoczne i tym bardziej drażniące dla reszty społeczeństwa. Narastał bunt, którego ukoronowaniem było powstanie dziesięciomilionowej „Solidarności”, której celem była obrona interesów „zwykłych ludzi” przed nadużyciami władzy. O zmianie systemu nikt jeszcze nie myślał. Bunt robotniczy (np. w czerwcu 1976) odbywał się pod hasłem: „socjalizm tak, wypaczenia nie”. Powrócił „socjalizm z ludzką twarzą” jako motyw przewodni robotniczego ruchu oporu przeciwko władzy.

Dla pokolenia 30.–40. był to kolejny powiew nadziei i jako taki został odebrany. Niektórzy włączyli się do ruchu i odegrali w nim ważne role, ale kluczowe role odegrało młodsze pokolenie urodzone w latach 50. i później. Umiarkowane podejście mego pokolenia do „karnawału »Solidarności«” można wytłumaczyć jego doświadczeniami i pragmatyzmem, być może niemałym już dorobkiem życiowym, przede wszystkim jednak trzeźwą oceną ryzyka w bezpośredniej przyszłości. To ryzyko zmaterializowało się 13 grudnia 1981 roku. „Ludzką twarz” zmasakrowano. Rozczarowanie lat 70. w następnej dekadzie ustąpiło miejsca beznadziei. Zarazem z pełną siłą ujawnił się instynkt przetrwania wdrukowany w DNA pokolenia 30.–40. przez wojnę.

Trudności gospodarcze i braki końca lat 70. uległy spotęgowaniu. Legalnie, półlegalnie, nielegalnie trzeba je było jakoś skompensować i zarządzający masą upadłościową PRL-u coraz wyraźniej zdawali sobie z tego sprawę. Zaczynał się czas „inicjatywy prywatnej” i „firm polonijnych”. To nasze pokolenie dysponowało odpowiednimi zasobami doświadczeń (często zagranicznych), kontaktów i „prawdziwych” pieniędzy, aby korzystać z nadarzających się okazji. Ostrożność nakazywała działanie w małych quasimafijnych strukturach rodziny i najbliższych znajomych. W warunkach ubóstwa i dotkliwych braków na rynku konsumpcyjnym korumpowanie władz było łatwe i proste. Lata 80. to było „przedszkole” polskiego kapitalizmu i do tego przedszkola jako pierwsza klasa zgłosiło się pokolenie 30.–40. Młodszy walczyli i budowali wizje przyszłego „wspaniałego świata”, starsi byli bierni lub po prostu zajmowali się pracą zawodową i trudnościami dnia codziennego. Próbowali jakoś „się urządzić” w świecie, którego nie akceptowali, ale musieli przyjąć go do wiadomości. My widzieliśmy i wiedzieliśmy już zbyt dużo, nie ufaliśmy żadnej władzy ani żadnym instytucjom i poszukiwaliśmy niezależności na własną rękę, bo sobie wzajemnie ufaliśmy w bardzo ograniczonym zakresie. Kolejne ekipy rządzące już w wolnej Polsce nie zdołały zasadniczo zmienić tych postaw. Dominowało dążenie do jak najlepszego, jak najpełniejszego wykorzystania dla własnego pożytku tego obszaru wolności (zwłaszcza ekonomicznej i osobistej), który stworzył nowy system. Postanowiliśmy jak najlepiej wykorzystać „okienko możliwości”, które nam otworzono.

Przedszkole lat 80. opłaciło się po 1989 roku i odzyskaniu niepodległości. Kiedy młodszy i starsi zajmowali się ideologią i polityką, pokolenie 30.–40. budowało polski kapitalizm. Jeżeli prześledzimy rodowód naszej przedsiębiorczości prywatnej, która odniosła sukces, to niemal z reguły ich korzenie sięgają przełomu lat 80. i 90. i działań pokolenia 30.–40. To właśnie to pokolenie odcisnęło na polskim modelu kapitalizmu najsilniejsze piętno w sferze mentalności, wzorców kulturowych i sposobów działania. A polski kapitalizm okazał się wyjątkowo skuteczny w odrabianiu zaległości nagromadzonych przez wieki i ostatnio w okresie „realnego

socjalizmu". W ciągu kilku dziesiątków lat nastąpiło zwielokrotnienie PKB i skok cywilizacyjny.

Bezpośrednio po „wielkiej przemianie” 1989 roku wiele osób z pokolenia 30.–40. zdobywało doświadczenie w korporacjach międzynarodowych wchodzących do Polski lub pracując za granicą. Stosunkowo nieliczna grupa pozostała w tych rolach do końca aktywności zawodowej. Po dziesiątkach lat zniewolenia pragnęliśmy jednak swobody i pola dla własnej inicjatywy, których świecie korpo nie było. Nie chcieliśmy słuchać niczyich rozkazów, ale jeżeli było trzeba, to nauczyliśmy się udawać posłuszeństwo. Nie bez powodu Czesław Miłosz nazywał Polaków najbardziej doświadczonymi niewolnikami Europy. To pokolenie było doświadczone szczególnie.

Najważniejszą cechą mentalności „dzieci wojny” był bezwzględny imperatyw przeżycia, przetrwania. Tak było zarówno w czasie wojny i bezpośrednio po niej, jak i w „realnym socjalizmie” i w rodzącym się „drapieżnym” kapitalizmie. Zgodnie z zasadą „przetrwać przede wszystkim” polskie firmy i polska gospodarka prywatna po 1989 roku wykazały się zadziwiającą odpornością na wstrząsy, kryzysy i perturbacje zarówno na rynkach, jak i w polityce. Dzięki pokoleniu 30.–40. „zieloną wyspę” mamy wdrukowaną w DNA polskiej przedsiębiorczości, podobnie jak odporność na niewiarygodną skalę niekompetencji, marnotrawstwa i nadużyć okresu „dobrej zmiany”. Takie dążenie do przetrwania ma swoją cenę wynikającą z ostrożności. Polskie firmy podejmują jedynie dobrze skalkulowane ryzyko. Dlatego nie rosną ponad lokalną czy regionalną normę. Wśród polskich start-upów nie ma jednorozców i nie zanoszą się, by się pojawiły. To zbyt ryzykowne, zwłaszcza w środowisku pełnym zawiści i podejrzeń. To pokolenie odznacza się wyjątkowo niskim poziomem zaufania i niezmiennym dążeniem do „oszukania systemu”, często działając na granicy prawa, ale jej nie przekraczając. Opanowali sztukę wyczuwania zawczasu „słabych sygnałów” szans i zagrożeń oraz szybkiego reagowania na nie.

Pokolenie 30.–40. zaznało biedy w dzieciństwie i młodości. Tłumaczy to charakterystyczną dla całej tej generacji dbałość o osobisty interes materialny. W zależności od historycznie uwarunkowanych szans i zagrożeń przybiera ona bardzo różną postać i skalę poczynając od wieloletowości i „chałturnictwa”, poprzez pokątny handel i „turystykę zarobkową”, do przedsiębiorczości na coraz większą, niekiedy globalną, skalę udziału w rynku kapitałowym i zwykłego „ciulactwa”. Ostrożność nakazuje jednak zarówno staranne ukrywanie się na „wyspach luksusu”, jak i unikanie działań poza granicami prawa. Nagromadzone doświadczenia nakazywały także unikanie zbyt ostentacyjnego, w stosunku do np. masowych akcji charytatywnych, dzielenia się swoim materialnym sukcesem na przykład w formie znacznych darowizn i fundacji, które mogłyby przyciągnąć uwagę władz. Prywatna luksusowa konsumpcja, zwłaszcza za granicą, jest mniej widoczna i mniej prowokuje. Trudne

dzieciństwo i młodość pokolenia 30.–40. legło także u podstaw wyjątkowej troski o dobrobyt i interesy potomstwa. W polskim prywatnym biznesie powróciły firmy rodzinne i „dynastie” różnej wielkości i skali. Ich mitycznymi już dziś założycielami najczęściej są „dzieci wojny”, które zaspokoili w ten sposób wyniesioną z dzieciństwa przemożną potrzebę bezpieczeństwa i stabilizacji. Kolejne pokolenia oczywiście przynoszą zmiany kultur organizacyjnych i stylów zarządzania. Jest jednak jeszcze za wcześnie, by oceniać, w jakiej mierze traci aktualność kulturowe i mentalne dziedzictwo pokolenia 30.–40.

Podobnie jak i w innych krajach z opóźnieniem „budujących kapitalizm”, tak i w Polsce dominował i był w nowych warunkach kontynuowany paternalistyczny i raczej autorytarny styl zarządzania oparty na autorytecie, hierarchii, dyscyplinie i przywilejach. Mimo takich wzorców zdarzali się charyzmatyczni, utalentowani przywódcy. Zdarzały się też przypadki częstego bardziej brutalnego kontynuowania zrodzonego w „realnym socjalizmie” „folwarcznego” zarządzania opartego o samowolę i przemoc szefostwa w stosunku do podwładnych. Uproszczona, żeby nie powiedzieć prostacka, wersja neoliberalizmu służyła uzasadnianiu takich praktyk i niestety w świadomości społecznej jest z nią kojarzona po dziś dzień.

Pokolenie 30.–40. było i jest politycznie neutralne, żeby nie powiedzieć obojętne. Po latach gorzkich doświadczeń nie jesteśmy w stanie potraktować poważnie jakichkolwiek ideologicznych czy politycznych deklaracji. My, pokolenie 30.–40. zawsze szukamy odpowiedzi na pytania, czyim interesom służą ideologiczne deklaracje i próby ich realizacji oraz w jaki sposób. Dopiero po uzyskaniu i potwierdzeniu odpowiedzi na te pytania możliwe staje się potraktowanie sfery polityki instrumentalnie i ułożenie relacji dla własnej osobistej korzyści. Wbrew przekonaniom części opinii publicznej nie są to jednak atrakcyjne układy dla osób czy grup dysponujących poważniejszymi zasobami finansowymi, społecznymi i intelektualnymi. Przyczyną jest niska jakość i niestabilność klasy politycznej, a zwłaszcza niemożność oparcia relacji na trwałych i powszechnie respektowanych podstawach zwyczajowych i prawnych. Z nadzieją witamy kolejne „programy dla Polski”, ale traktujemy je „interesownie” w nadziei na szansę i osobiste korzyści, czekamy na rezultaty.

To nie jest pokolenie, po którym spodziewano się wiele, badacze i publicyści nawet nie wspominają o jego istnieniu i jego specyfice. Ale to przecież dzięki nam Polska przetrwała „realny socjalizm”, pierwszy burzliwy czas transformacji i szaleństwa „dobrej zmiany”, a w 2023 roku wygraliśmy demokratycznie walkę z szerzącym się w Europie populizmem. Szukając jakiejś ogólnej charakterystyki generacji „dzieci wojny”, nasuwają się określenia: „pokolenie racjonalistów, do bólu pragmatyków”, „pokolenie oportunistów i cyników”. Tak, ale zarazem nonkonformistów i indywidualistów dążących do „oszukania systemu” łączących się w tym celu w doraźne koalicje, przewyciężając głęboko zakorzenioną nieufność. Wszystko

po to, by przetrwać i realizować swoje zadania (niekiedy misje), niekiedy po prostu po to, by przeżyć jako tako z rodziną i ewentualnie się wzbogacić. Odchodzimy. Na pytanie: „co po nas zostanie?” jest jednak zaskakująca sceptyków odpowiedź: polski kapitalizm ze wszystkimi jego wadami i zaletami. Tylko tyle i aż tyle.

*Ale nasz dom to jest nasz dom
Jak psy ułożmy się na progu
I koniec taki nam jak psom
I wycie nasze tylko Bogu*

Jarosław Iwaszkiewicz,
Urania i inne wiersze